Nr. 1. We Lwowie dnia 1. Stycznia 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Bunt Napierskiego.

Poemat dramatyczny.

AKT PIERWSY.

OSOBY:

Stanisław Łętowski, wójt z Czarnego Dunajca.
Łętowska, jego żona.
Hanusia, ich córka.
Wasyl Czepiec, Rusin z Grybowej.
Marcin Radocki, rektor szkoły w Pcimiu.
Salka Nieznana.
Bieczyński.
Gazdowie.
Pachołkowie starościńscy.

Izba w domu Łętowskiego. Zwykłe urządzenie izb góralskich: ściany z heblowanych belek; naokoło ścian półki ozdobne w stylu zakopiańskim, na nich misy, talerze itd. Pod półkami na belkach dzbanki, roztruchany, pomiędzy tymi niektóre bardzo kosztowne, pochodzące widocznie z wypraw zbójnickich, prócz tego obrazy świętych oraz przedstawiające sceny z życia legendowego Janosika. Na jednej ze ścian bogaty pas bacowski, noże zbójnickie, ciupagi, kilka strzelb etc.— W środku świetlicy duży stół, stołki, w kątach skrzynie.

Hanusia, dziewiętnastoletnia piękna dziewczyna, siedzi przy stole i szyje.

(Podnosząc głowę ku matce:)

Ze dwa miesiące, jak się żegnał ze mną,
mówił, że wróci z Miśkiem i Gajdosiem
i z naszym Wojtkiem, z Hornym i z Obrochtą
jeszcze nim śnieżek na reglach stopnieje.
Białe-ć są jeszcze granie i upłazy,
ale ze smreczyn płachta już opadła,
zielony meszek widać już na grapie,
a jego niema. Boję się w swej duszy...
Może go skuli, może jest w ciemnicy.

Łętowska, lat około czterdziestu, zajęta sprzątaniem.

Tego nie wiedzieć, ino, że Wawrytko,
co do Orawy chodził na prześpiegi,
aby wybadać, czy nie powiesili
jego chłopaczka, zawitał już z drogi
i opowiada, że tam husarowie
schwycili jakichś górali i wszystkich,
niby ten kierdel, przygnali na zamek.
Pytałam go się, czy pomiędzy nimi
nie doźrzał czasem Wojtka i Janosza
i resztę naszych, ale on nikogo
tamok nie poznał, bo, peda, to byli
hań! — od Jurgowa albo też od Białki
albo Spiżacy.

Hanusia

(uspokojona, później z rosnącym zapałem.)

Kamień spadł mi z serca,
cięższy, niż owy na czubie Świnnicy!...
Wiedzą, matulu: jużbym nie patrzała
temi oczyma, inobym je w ślozach
gorzkich straciła, gdyby tak mój orzeł
marnie zaginął... Lecz on nie zaginie!
On-ci, gdy zechce, to, by ptak na skrzydłach,
tak się uniesie popod samo niebo,
że nasze hory to mu się tam widzą
nijak kamyczki, a szumny Dunajec
Jak srebrna nitka albo włosik siwy...
Wiedzą, matulu, on znalazł szabliczkę,
którą Janosik w wielkiej tajemnicy
zaciął w jaworze i zasię ją zaklął,
aby czekała, aż-ci przyjdzie po nią
taki sam junak, jak i on, i weźmie
do twardej ręki, by nas biednych ludzi
wyrwać z nieszczęścia, z niedoli... A wiedzą:
ma-ci on taką strzelbiczkę przy sobie,
że jak się zmierzy, to za jednym strzałem
legnie na grani całe stado kozic...
A oko, wiedzą, ma jak szczery jastrząb:
na tysiąc kroków szelążek dostrzeże
i zaraz trafi... A niechby husary
chcieli go ścigać, już on im dogodzi..-
Ja się nie boję...

Łętowska.

Nie dufaj! nie dufaj!
Mówią: Janosik nad wszystkie był chłopy,
za kudły chwytał każdego niedźwiedzia,
łeb mu ozbijał, po wirchach chodzował,
niby czerwony rogacz, a po halach
kiej głos rozpuścił, tak się siklawice
rozpryskiwały, mówią, by dżdże mgławe,
jak jaworowe cienkie gałązeczki
tak się turniczki trzęsły, a jak piasek
rozpadowały się orawskie mury,
kiej ów zahuczał, ten Janosik godny,
a przecież znalazł swoją śmierć niegodną
na szubienicy... Nie dufaj!

Wchodzi **Wasyl Czepiec.**

Łętowska *do Czepca.*

Przyszedłeś...
Już się dziewczyna stęskniła za tobą.

Czepiec, ponury, młody junak.

Gdyby to wasze słowo było prawdą,
na przywitanie rękę by podała.
(Siada na ławie w kącie izby.)

Hanusia

na której twarzy podczas opowiadania matki malował się niepokój i zwątpienie, tak, że z rąk dziewczyny wypadła materja, szyta przez nią, do Czepca:

Może się obejść bez tego.

Łętowska

(z niezadowoleniem do Hanusi.)

Weź putnię
I bież do doju... A ino już słychnąć,
kiej ojciec wróci z Pcimia od rektora —
rad się napije świeżutkiego mleka.

Hanusia.

Gąsienicowa użyczyła sobie
naszej putniczki.
(Do Czepca.)
Może byś haw, Czepiec,
nie wysiadywał!... Hipnij po ten statek!
(Do matki z spokojem i pewnością.)
Prawdę gadają... ten godny Janosik
na szubienicy znalazł śmierć niegodną
przez to, że, widzą, krew niewinną przelał...
A skazowała mu jedna babinka:
»Do tela będziesz chodził po tym świecie,
pokiel niewinnej krwie nie puścisz«...
(Stanowczo.)
Widzą:
harnasia własna zdradziła frajerka
i za korale wydała Liptakom —
lecz mój Janosik, widzą, nie przeleje
niewinnej kropli i ja go nie zdradzę!...
Ja go nie wydam!... przezemnie nie zginie!...

Czepiec

Jeszcze nie było takiego zbójnika,
coby na ręku nie miał krwawej plamy,
jeszcze nie było takiej frajereczki,
coby swojego chłopca nie wieszała...

Hanusia.

Mówię ci, Czepiec, idź po putnię!... Chybaj!
W kąt się wtuliłeś, bo cię jasność gryzie...
Złyś, tak i kraczesz, niby hawrań czarny.
Może żałujesz, żeś na zbój nie poszedł —
o tam! za Tatry!... Piękny z ciebie zbójnik!
Niewinne baby i dzieci katować,
a starościńskim dał się wziąść jak baran...
Kozy ci doić i żentycę kwasić,
w doliny pędzić szkapska z obońkami,
żydom zanosić ser, szachraić z nimi
cztery godziny o jednego dutka,
nie odmierzować czerwone dukaty
w koszyckich kasach... Chybaj!

Czepiec *(gniewnie.)*

A idź sama!
Na szałasisku życia nie pędziłem,
nikt mnie nie uczył brać się do pucięry —
jeszczebym dzieżkę ozbił o twą głowę...

Hanusia *(drwiąco.)*

Na szałasisku życia nie pędziłeś,
inoś siadował w grybowskiej dzwonnicy,
panom i łyczkom dzwoniłeś na chrzciny
i na wesela... Masz przyzwyczajenie,
widzisz, do sznura...

Czepiec.

Mówią, w samą porę
będzie i tobie potrzebny sznureczek —
mocny sznureczek! Trza się przepasować,
bo cię rozsadzi... Hospody, pomyłuj!
Na chrzciny tobie nie długo zadzwonią,
a na wesele to jeszcze poczekasz.

Hanusia.

Cicho!... Umilknij!...

Łętowska, podczas tej sceny zajęta sprzątaniem, nie wiele zważała na rozmawiających, teraz, posłyszawszy ostatnie wyrazy Czepca:

Czepiec! coś powiedział
o jakimś sznurze? o chrzcinach?

Czepiec.

Nic.

Hanusia *(zagadująco.)*

Wiedzą:
pod szubienicą stał już wielki junak,
no i ten sznurek, co mu zdjęli z szyji,
wpakował sobie do mózgu, tak, widzą,
żal mu go było zostawić katowi...

Łętowska.

Głupia dziewucha, głupia... Nic dobrego
tak nie ugwarzysz... Zakrzątnij się w izbie,
zamieć świetlicę... będą goście u nas —
pójdę ja sama do Gąsienicowej.
(Do Czepca.)
Dziewucha głupia: wpadło jej w te oczy

bielutkie lico i ten wąsik ciemny
u Janosika... Ja na to nie baczę,
bo myślę sobie: niech ma radość swoją!
Śnieg spadł na smreki i stopniał; wiatr halny
przeczesał trochę buczynę i przewiał...
Tak jak haw przyszedł, tak i pójdzie sobie
suchaj — pędziwiatr... Z jakiej on dziedziny,
nawet nie wiedzieć... Czarnodunajecki
jużci on nie jest, ani zakopiański.
Byli tu u nas ludzie z pod Kluszkowa
i nikt go nie zna... Siedział z sześć miesięcy
w naszej dziedzinie, mówił, że z imienia
jest mu Janosik i tyla, że w halach
na koziem mleku tak ci wyhodował
tę swoją białość i tyla... Do Szaflar
poszedł na odpust w jakowąś niedzielę
i tam się zaraz spiknął z harnasiami
i ku Orawie pognał... Powiadali,
że niby sokół leciał poprzez hory.

Czepiec (*wstając.*)

Podetnę ja mu skrzydełka — jej bohu!

Hanusia.

Ciupagą łeb ci ozwali.

Czepiec (*siadając.*)

Tfu!

Łętowska.

Hanka!
Mówię raz jeszcze — słuchaj, nic dobrego
tak nie ugwarzysz: Czepiec jest dla ciebie!

Hanusia.

Dla mnie jest hora, a nie kopczyk.

Łętowska.

Hora —
abo nie hora...

(*Zwrócona ku Czepcowi.*)

Ino to jest prawda,
że on tu wszystkim zadał jakby ziela,
które odurza... A toć i mój stary
uwidział sobie cuda w tym junaku; —
mówi, że z takim dobrze iść na pany,
bo ma odwagę, mówi, jak nikt w świecie.
Opowiadali, że jak brał te perły
z żydowskiej skrzyni, to ci mu we włosach
uwisło pięciu hajduków.

Hanusia.

Nie! siedmiu,
mamiczko, siedmiu!

Łętowska.

Niech będzie — On wszystkich
swoją ciupagą roztrzaskał od razu
i perły przyniósł Hanusi — »Na szyję« —
mówił — »królowej perły te przyniosłem«.

(Podchodzi do skrzyni, wydobywa kilka sznurków pereł i pokazuje Czepcowi:)

Uważaj: piękne!... Mówił, że w Warszawie
niema piękniejszych...

(Zawiesza perły na szyi Hanusi.)

»A zasię« — powiedział —
Wam ja zebrałem, sołtysie Łętowski,
krztynę czerwieńców«...

(Zawiesiwszy perły, prezentuje Hanusię Czepcowi.)

Widzisz, jak jej swarnie —
istna królowa!

(Opowiadając dalej.)

I, widzisz, mój stary,
jako że w młodych leciech na zbój chadzał,
uweselił się i rzecze: »Ej! z tobą,
chociażem siwy, poszedłbym na lachy!

Czepiec.

I ja z nim pójdę na lachy, jak trzeba.
Ale kiej wrócim zdrowo z pohulanki,

(*chciwie*)

tak mu się sprawię: widzisz, perły moje
i Hanka moja, widzisz! — tak mu powiem.

Hanusia

(*lekceważąco, wpół do siebie.*)

Siedział dudek na dzwonnicy,
w deszczu sobie piórka moczył,
słoneczka się nie doczekał,
jak nie pyszny w dziurę skoczył.

(*do matki.*)

Wiedzą, matulu! wiedzą, ojciec wróci,
a dój nie gotów... Mają iść po putnię,
to niechże idą, albo ja polecę.

Łętowska.

Sama udoję, a ty skończ to szycie —
ino mi nie bądź z Czepcem jako burek
z misiem — ten zawsze mocniejszy.

(*wychodzi.*)

Hanusia.

Ej! złotem
jabym kazała wybić szubienicę,
kabyś ty wisiał — uważaj: z uciechy!
Głupi pułkownik!

Czepiec.

Mądry, bo przykazał
w Czarnym Dunajcu siedzieć mi przy tobie,
póki na wojnę listu mi nie przyśle.
Przysiągłem czekać — ot i czekam... Hanka!
Hanka!

Jan Kasprowicz.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Figura Mickiewicza

dłuta C. Godebskiego na pomniku w Warszawie, odsłoniętym w dniu 24. grudnia 1898 r.

CUD.

(NOCTURN.)

Zaiste, »srebrna cisza« zagląda w te wielkie tafle szklane. Dwa bezmierne obrazy zdają się dotykać okna tego, rozlewać się i wzdłuż i wszerz — i wzbijać w górę, błękitniejąc powoli. U dołu niby tkaniny białe, niby marmury zbrużdżone zielonawymi rysami. Lśnią na nich wszędzie garście djamentów i strugi kryształowe. U góry — obszar szafiru czysty i jednolity, rozjaśniony białym, jak śniegi, księżycem. W wielkiem, majestatycznem świetle oblicza miesięcznego bledną i więdną kwiaty gwiazd, gęsto rozsiane. Zamarzłe kryształowe fale na ziemi, uroczysty błękit w niebiosach.. Rozdziela je, lecz i związuje zarazem mozajkowa stuła marmurowych i granitowych pałaców, ciągnących się, zda się, bez końca — ciemniejszy pas w dalekiej perspektywie.

Cudzoziemiec nieśmiało i wrogo wpatruje się w te zielonawe kryształy i w te zastygłe błękity, które ogląda poraz pierwszy. Ze zdziwieniem spostrzega na zwierciadlanej szybie podwójnego okna zaledwie występującą misterną tkankę lodowego haftu... A jednak wielki komin w bronzowej oprawie wyrzuca oddech gorący — jak paszcza lwa afrykańskiego — i krwawem, nienawistnem okiem błyska ku tym przezroczom brylantowym. Nawet i na taką północ — wieczór niezwykle jest mroźny.

Cudzoziemiec odwraca się od okna z lekkiem drgnięciem ramion. W myśli jego majaczy przez chwilę bajeczna królowa lodów, renifery i zorze, — zmartwychwstaje dziecinna nienawiść do złej czarodziejki i dziecinne współczucie dla małego bohatera, marznącego w jej objęciu. Krew południowca burzy się i buntuje... Prawie z irytacją zatrzymuje wzrok swój na pięknej ciężkiej kotarze nad łożem *Louis XV.* i na barrokowej rzeźbie komina.

— Tapety i dywany z białych niedźwiedzich skór byłyby tu na miejscu — i pięknie i stylowo! — myśli z niezadowoleniem. — Niebieska brokatela jakby szronem się jeży. Swawolnych nagich amorków chciałoby się ubrać po kamczacku!

Pada na fotel przed kominem i wpatrując się w płonące wielkie kłody drzewa (zdawało mu się, że takie kłody spłonęły już bez śladu przed wiekami w ogromnych halach myśliwców-rycerzy...), zamyśla się głęboko i smutnie. Nie nad misją swoją w »północnej Palmirze« zastanawia się w tej chwili, jak każdy by to zrobił może na jego miejscu, — nie nad jej kontrastami i splendorami. Tylko bajeczne otoczenie to naprowadza go znowu na myśli, gnieżdżące się niegdyś stale w jego głowie. Im dalej cofa się wstecz wspomnieniem, im młodszym, im nawet dziecinniejszym się widzi, tem gęstsze, barwniejsze i żywsze zlatują się ku niemu te dawne masy lotnoskrzydłe, te dawne ciche ekstazy... Dziś zdają się być one spopielone i pogrzebane na wieki w wyziębłej urnie smutnej duszy jego.

A jednak nie może dotąd się oprzeć cichemu rozmarzeniu — i nagły żal do serca mu się wkrada za fantastycznym tym szeregiem towarzyszy młodego ducha jego, coraz bledziej się lśniącym w niedoścignionej oddali...

Zaduma o dawnym sobie opanowuje go całkowicie. Zestawia z nim siebie dzisiejszego — i z gorzką ironją spostrzega, jak »urósł« albo..... »pochylił się« raczej od lat tych, tak pełnych ułud, jak i ten dziwny wieczór seledynowy na dalekiej obczyźnie.

Niegdyś! o, nie odwróciłby się z pewnością od takich sreber i szafirów! Myśl jego rzuciłaby się całą mocą—wobec pięknych tych zimnych świateł — na spotkanie wciąż przeczuwanego, wciąż upragnionego — tajemniczego celu życia. W oczekiwaniu tem zwracał się niegdyś ku niemu z automatycznemi ruchami słonecznika, szukającego słońca, chociaż rzeczywistość miotała nim na wsze strony. I gdyby wówczas naprawdę zabłysło dlań chociaż na chwilę jakieś szczególne słońce na świecie, który go tak mało obchodził, stałby się świat ten dlań wszystkiem — i w prochu świata tarzałby się szczęśliwy.

Tem słońcem namiętnie pożądanem, którego nie spodziewał się już ujrzeć wcale — było urocze... słońce cudu! cudu objawionego na ziemi— chociażby w czołgającem się cielsku płaza, który by przemówił doń słowami baśni, — chciał cudu!.. Cudu! to jest rozwartych podwoi do »innego« świata. Bo mógłby wreszcie uwierzyć w ów świat nadludzki, uwielbić go, paść twarzą przed jego tajemnicą.

— Zleć do mnie! okryj białem twem skrzydłem! anioł stróż zawsze przecież tak czyni?! — szeptały niegdyś dziecięce rozmodlone usteczka jego do pulchnego anioła na pospolitym obrazie.

I mały chłopiec długo czekał cierpliwie z rozkoszną, a niezachwianą pewnością, że masywny niebianin wysunie się z ramy i opiekuńczem skrzydłem muśnie go po policzku tak miękko, jak »starsi«, kiedy go pieszczą. Przekonawszy się jednak, że modły nie wzruszają »niedobrego« anioła, szedł z zaufaniem do »najlitościwszej« Marji Panny; a gdy Bogarodzica nie raczyła uśmiechnąć się doń ani przemówić, klękał przed cudownym, przeboskim Jezusem, garnącym do siebie dziatwę

hebrajską. Cisnęła się hardo do kolan Jego, jak rozpieszczone maleństwa do nadto słabego ojca. Obie dłonie wspierał na ciemnych główkach kędzierzawych, a dziwne Jego źrenice śmiały się, kochały i marzyły zarazem...

Klęczał tak godzinami całemi, żebrząc by cudna twarz w profilu na chwilkę zwróciła się ku niemu — wzrok ten, raju pełny, spłynął na jego główkę, tak samo ciemną i kędzierzawą — tylko schyloną w gorącem obóstwieniu, błagalną...

Ale nawet i ten Najsłodszy nie raczył wejrzeć na lichego robaczka, co wylęgł się na ziemi za późno, by łaskę Jego oglądać — i słońce oczu Jego tylko dla tamtych jaśniało.

Nie śmiało dziecko nazwać Go niedobrym i nielitościwym. On to jest sam widocznie pełen grzechu i niegodny łaski. Odszedł od starożytnego ołtarza, nie śmiąc już więcej podnieść »grzesznego« wzroku ku nieruchomej Jasności.

Zasmucił się, lecz nie przestał wyglądać i czekać cudu. Rósł, a wczytując się gorączkowo w podania przedwieczne, w żywoty świętych, pragnął coraz goręcej objawienia.

...Aż oto ujrzeli w obłokach Bogarodzicę — w niebieskim płaszczu i białej szacie...

...Zdziwieni niewierni zapytywali krzyżowców — jaka to jasna milicja walczyła na ich czele ?— — Anieli to niebiescy...

Gdyby on ujrzał! O gdyby!

Z biegiem lat wyśniony cud przybierał coraz to odmienniejszą postać. Młodzieniec rósł i dojrzewał, lecz zawsze ludzkie, cielesne oko jego pragnęło cielesnego kształtu wymarzonej wiary, uchylenia rąbka zasłony nieuchwytnych zaświatów. W ziemię wrosła dusza jego, którą wzgardziłby najskromniejszy z ascetów i najpospolitszy z naiwnie wierzących prostaków — wierzyć nie mogła, jak dusza Tomaszowa, bez widzianego lub słyszanego dowodu. Lecz tak pragnęła tej wiary, że więdła, nie mogąc rozwinąć spętanych skrzydeł w bezmiarze ubóstwienia...

Gdy w towarzystwie kolegów uniwersyteckich przystępował do spirytystycznych doświadczeń, przejęty i drżący — odbijał prawie dziwacznie od ich wesołego i lekkomyślnego tła. Wówczas gdy oni pragnęli tłómaczyć wszystko prostą, choć dotąd niezbadaną siłą naturalną, on chciał odnaleźć znowu przebłyski zaświatowe — moce nadprzyrodzone.

I chwiała się dziwnie dusza jego i nawoływały w niej odwieczne jakieś echa. Polemizował z towarzyszami i unosił się bez granic. Wytężał płonące oczy, szukając bladych konturów »ducha« Swedenborgów i Hum'ów, mienił się na widok wiersza, pisanego własną jego ręką i ołówkiem, lecz »nie jego« pismem... Przeżywał chwile tragiczne wtedy, kiedy koledzy jego wesoło się bawili na nieudatnych seansach.

Długo uleczyć się nie mógł ze swych wyśnionych nadziei. Tylko się coraz szczelniej zamykał w sobie, nie ukazując oczom ludzkim ani nadziei tych, ani następujących po nich rozczarowań. Z biegiem czasu coraz też częściej przerywały mu te nastroje ostre żądełka ironji własnej...

Komin począł dogasać. — Cudzoziemiec się ocknął i powstawszy z miejsca, przeszedł się parę razy po pokoju wolnym, znużonym krokiem. — Prócz nikłych, konających plam ognia na dywanie — panowała tu tylko już jasność księżycowa, ta sama srebrna jasność, w której tonął fantastyczny bareljef kryształowy w smukłem wysokiem oknie. Misterna tkanka lodu coraz wyżej się wspina po czystej ogromnej szybie szklanej... Cóż to? Parę srebrnych lilji o brzegach, drżących djamentową rosą, zarysowało się tak wyraźnie, z taką finezją konturów a wypukłością kształtu, że smutny człowiek nie może od nich oczu oderwać, pełen nagłego podziwu... Nie widział jeszcze nigdy tych mroźnych kwiatów i liści o formach podzwrotnikowych... Nie chce wierzyć oczom swoim.

— Jeszcze jeden, nieznany dotąd kaprys natury!... Takiemi »cudami« chętnie świat materjalny sypie!...

Rzuca się znowu na fotel przed kominem, bo mu się zdaje, że chłód z za szyby aż tutaj go dosięga. Tu znowu wzrok jego spotyka na przeciwległej ścianie świetlaną plamę gotyckiego okna w dokładnej jego kopji. U dołu odbitego obrazu, również jak w oryginale — występują z przedziwną dokładnością kontury liści palmowych i kędzierzawych akantusów, drżą cienie lilji, — różniąc się tylko matowym haftem koronki od lśniących w oknie kwiatów-klejnotów.

Pomimo, iż wieczór jeszcze nie jest późny, długa samotność po długiej podróży usposabia nieznacznie do snu ponurego przybysza. I wtenczas, gdy głowa jego znużona chyli się na miękką poręcz fotelu, zatapiając się coraz głębiej we śnie, — rzeźba lodowa na szybie i cienie od niej na odbiciu posuwają się szybko w górę i rosną wszerz i wzdłuż...

W noc późną budzi się dopiero. Czuje ból w odchylonej w tył szyi. Zrywa się z szybkością, wyprostowuje, instynktownie szukając wzrokiem wygodniejszej pościeli, — półsenny, półprzytomny, nieoswojony jeszcze z otoczeniem...

(Dokończenie nastąpi.)

Janina Baudouin de Courtenay.

BOLESŁAW PRUS O CZECHACH.

W pierwszej połowie grudnia br. obchodzili Czesi 80-letnią rocznicę urodzin jednego ze swych przewódców — Franciszka Władysława Riegera.

Zanim jednak wspomnimy o wodzu, wypada kilka słów poświęcić jego armji, to jest—czeskiemu narodowi. Należy mu się to z wielu względów. Naprzód jest on bodaj czy nie najwyżej rozwiniętym społecznie między słowiańskiemi ludami, powtóre — jego historja, pełna krwi, łez, ale zarazem i tryumfów, jest w wysokim stopniu pouczająca, a nareszcie... Nareszcie my, Polacy, bardzo mało wiemy o Czechach, od których wiele pożytecznych rzeczy moglibyśmy usłyszeć...

Królestwo Czeskie jest niby półwyspem słowiańskim, z trzech stron atakowanym przez fale germańskiego morza. Od północy cisną go prusacy, od zachodu sasi i bawarowie, od południa — austrjacy. Gdy pewnego dnia spojrzałem na mapę Czech (bez Morawji), przyszło mi na myśl, że kraj ten jest nieco podobny do lipowego listka, w którym rzeki odgrywają rolę tak zwanych nerwów. Nerwem głównym, środkowym, jest Wełtawa, nad którą stoi stolica Czech — Praga, a nerwami bocznemi są dopływy: z prawej strony — Łużnica, Sazawa, Łaba, a z lewej — Wotawa, Berunka, Ohrza.

Jestto więc kraj, posiadający bardzo wiele wód bieżących i stojących; ale nie brakuje mu i innych bogactw naturalnych. Ziemia tam żyzna, na której doskonale hoduje się pszenica i buraki; są tam kopalnie węgla, siarki, cyny, ołowiu, nawet srebra; jest doskonały piasek, z którego wyrabiają sławne szkła czeskie i jest glina, nadająca się do wyrobu porcelany. O wodach mineralnych — jak Karlsbad, Cieplice itp. — nie wspominam, znają je bowiem nawet tacy, którzy jeszcze nie mieli czasu dowiedzieć się o istnieniu Królestwa Czeskiego...

Pewnego razu, w piękny letni dzień, przejeżdżałem przez Czechy. Krajobraz tak mnie zainteresował, że wdrapałem się do budki konduktorskiej, ażeby stamtąd nasycać się niezwykłym dla mnie widokiem. Pędziliśmy przez wzgórza, albo między wzgórzami. Jak sięgało oko, widziałem uprawne pola, drogi wysadzone drzewami, kominy fabryk, odkrywki kopalń, ładne miasteczka, bogate wsie, lasy, sady, stawy... Tworzyło to taką całość, że nie bez zazdrości pomyślałem:

— Boże miłosierny, taką piękną ojczyznę dałeś Czechom!...

To też nie dziw, że do krainy, będącej jednocześnie spichlerzem, skarbcem i galerją obrazów, Niemcy zawsze wyciągali i dziś wyciągają rękę... W każdym razie koloniści niemieccy już w XII. wieku zaczęli osiadać w Czechach.

Nawet w Warszawie wiemy o tem, że Czesi tworzyli kiedyś państwo niezależne, które w wieku IX. przyjęło wiarę chrześcijańską, a w pierwszej połowie XIV. już posiadało uniwersytet w Pradze. Mieli oni w swoim czasie potężnych królów, genjalnych wodzów, sławne wojska, poetów, uczonych i literatów.

Mieli nawet reformatora Husa i reformę religijną, która, jakkolwiek uznana była za kacerską, niemniej świadczy, że duch czeski umiał wzbijać się na najwyższe szczyty ludzkich myśli i uczuć.

W początkach XV. wieku Czesi zrobili swym królem członka rodziny Habsburskiej, która, przez szereg pokoleń, z nieugiętą konsekwencją usiłowała naprzód — samodzielne Królestwo Czeskie przerobić na austrjacką prowincję, a powtóre — w części wytępić, w części zgermanizować Czechów. Takie usiłowania dynastji, łącznie z zatargiem narodowym i religijnym pomiędzy Czechami i Niemcami, doprowadziły w początkach XVII. wieku do wojny domowej, która dla Czechów skończyła się straszną klęską. Prawie cała szlachta i inteligencja wyginęła bądź na placu bitew, bądź na rusztowaniach. Ci zaś, którzy ocaleli, musieli uciekać z ojczyzny.

Z trzy miljonowej ludności zostało przy życiu zaledwie 800 tysięcy; zniszczono 600 miast i 25 tysięcy wsi. Kraj bogaty i piękny zamienił się w olbrzymi cmentarz, na którym zamiast krzyżów sterczały opalone kominy i gdzie na zarastających trawą gościńcach potykano się o ludzkie kości, których nie było komu zasypywać zbyt głęboko.

Krwawe te dzieje najwymowniej uczą, ile — napozór śmiertelnych — klęsk może wytrzymać i przetrzymać naród.

Nie skończyło się jednak na samej wojnie. Nieprzyjaciele bowiem Czechów przez półtorasta lat po bitwie Białogórskiej pastwili się nad zwyciężonym narodem. A gdy zabrakło ludzi, posiadających kwalifikacje na szafot, wzięto się do niszczenia... książek...

Niejaki Koniasz w końcu XVIII. wieku robił sobie reklamę, że on sam spalił 60 tysięcy czeskich książek!...

W tej epoce zdawało się, że naród czeski naprawdę wyzionął ducha. Więc ażeby tę okropną śmierć stwierdzić w sposób urzędowy, ówczesny cesarz Józef II. wydał rozporządzenie, które usuwało — »raz na zawsze« używanie przez lud języka czeskiego.

Było to niby wykreślenie z ksiąg ludności człowieka, który umarł. Tu jednak zdarzyła się rzecz przedziwna: ostatnia grudka ziemi, rzucona na naród... przebudziła go, a rozporządzenie Józefa II. stało się punktem wyjścia do nowego rozwoju Czechów.

Dziś bez przesady powiedzieć można, że naród czeski nigdy nie był ani tak silny liczebnie, ani stał tak wysoko pod względem cywilizacji, jak obecnie. Dla zilustrowania zaś tej prawdy, zacytujemy kilka cyfr, rzeczywiście charakterystycznych.

Czechów żyje w granicach Austrji sześć miljonów, czyli ze dwa razy więcej, aniżeli w epoce najwyższej narodowej świetności. Na jednym kilometrze kwadratowym w Czechach mieszka 112 ludzi, podczas gdy np. w Galicji — tylko 84. — Ziemia jest więc tam gęsto obsadzona, zatem — musi być lepiej uprawiana, a stosunki między ludźmi są częstsze i rozmaitsze, co z konieczności wpływa na wyrobienie człowieka.

O bogactwie Czechów daje pojęcie ten fakt, że gdy np. w Galicji na jednego mieszkańca przypada 10 guldenów oszczędności, to na jednego Czecha przypada 78 guldenów. Z czego można wnosić, że przeciętny Czech jest kilka razy bogatszym od przeciętnego galicjanina.

I trudno dziwić się temu, jeżeli na 100 Czechów pracuje aż 35 w przemyśle, podczas gdy na 100 galicjan tylko sześciu (!) zajmuje się przemysłem. Zkąd w dalszym ciągu wynika, że w Galicji utrzymuje się z przemysłu, a więc z pracy bardzo dochodowej, zaledwie 600 tysięcy osób, podczas gdy w Czechach znajduje się takich dwa miljony z czubem.

Trzeba dodać, że według opinji znawców, Czesi, pracując równie dobrze, a nawet niekiedy lepiej od Niemców, poprzestają na niższym zarobku. Mają też podobno wielki talent do rzemiosł i handlu, a jako kupcy są bardzo uprzejmi i rzetelni, o czem może należałoby pamiętać i w Warszawie.

(Dokończenie nastąpi.)

Z pism i książek.

Szczerbiec, miecz Bolesławowski, opisał Walery Eljasz Radzikowski. Z illustracjami. Kraków 1898. str. 71. in 8°.

Autor, artysta malarz i pisarz w jednej osobie, opowiada w tem dziełku słowem i ołówkiem o przecennej pamiątce narodowej, o mieczu Bolesławowskim, któremu wyobraźnia ludu niebieskie przypisuje pochodzenie, o którym kronika Baszka z XIII. wieku powiada, iż „Królowie, udający się na wojnę zwykli go byli nosić i zawsze z nim tryumfować nad nieprzyjaciółmi". *)

Zajmując wręcz odmienne od J. N. Sadowskiego stanowisko, Autor obala w słowie wstępnem, polemiczny mającem charakter, twierdzenie tego ostatniego, jakoby Szczerbcem był miecz, wystawiony przez Basilewskiego na wystawie paryskiej z r. 1878, a znajdujący się obecnie w carskich zbiorach w Petersburgu. Poczem drogą źródłowych badań, opierając swe twierdzenia na dowodach, uzupełnionych rysunkami i podobiznami, dochodzi sam i doprowadza przekonanego czytelnika do następującego, niezmiernej wagi orzeczenia, zamykającego rozprawę:

„I. że Szczerbiec jest mieczem Bolesławowskim, tym samym Żórawiem, który — jako broń własną — posiadał Bolesław Krzywousty i tegoż w bojach używał;

„II. że głownia u Szczerbca jest dawniejszą niż rękojeść i może pochodzić od Bolesława Śmiałego, a nawet Chrobrego;

„III. że miecz ten nosili polscy monarchowie do boju, a do koronacji użytym był dopiero za Władysława Łokietka, odkąd służył Szczerbiec tylko do spełniania tego obrzędu;

„IV. że miecz, który się ukazywał w ciągu bieżącego stulecia w rękach różnych właścicieli i ostatecznie umieszczonym został w zbiorach carskich w Petersburgu, nie jest wcale Szczerbcem, tylko tegoż podobizną;

„V. że ta podobizna, ów miecz, będący kopją Szczerbca, pochodzi ze skarbca króla Jana Sobieskiego w Żółkwi. Odziedziczony przez ks. M. Radziwiłła, przewieziony do Nieświeża, tamże w r. 1740 się znajdował, stamtąd w czasie najścia zamku tego przez wojska rosyjskie zniknął i z rąk do rąk przechodząc, wystawiony w Paryżu w r. 1878, na ostatku spoczął w Ermitażu;

„VI. że prawdziwy Szczerbiec, przed rabunkiem wojsk pruskich, wkraczających do Krakowa w r. 1794 przez kustosza koronnego uniesiony ze skarbca królewskiego na Wawelu, wraz z koronami, berłami i innemi klejnotami, przechowuje się odtąd w ukryciu.

Jeżeli badaczy starożytności wszystkie punkty powyższego „orzeczenia" w jednakowym mniej więcej zajmować mogą stopniu, to w szarej a czującej masie profanów punkt ostatni najżywsze budzi wzruszenie.

Więc klejnoty nasze koronne, tysiąclecia tradycją uświęcone, uszły drapieżnych rąk wrogów?... Więc spoczywają gdzieś w bezpiecznem, wolnem ukryciu, — niby symbol ducha narodowego, który też uszedł prześladowaniom morderców, — i kiedyś, w wielki dzień Zmartwychwstania, ukażą się, zabłysną, okryją — wedle proroctwa „Króla Zamczyska" — wolnością i chwałą nie jedno czoło królewskie, lecz cały naród!...

M. W.

*) Cyt. u p. W. Eljasza.

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie.